MARZENA ORCZYK-WICZKOWSKA

Leniwą egzystencję Strzemieszyc Wielkich przerywa elektryzująca wieść…

OSTATNI CUD

LIRA
WYDAWNICTWO

OSTATNI CUD

MARZENA ORCZYK-WICZKOWSKA

OSTATNI CUD

LIRA
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.
Wydanie pierwsze
Warszawa 2020
ISBN: 978-83-66503-78-6

1.

Jest trzynasty czerwca, sto sześćdziesiąty czwarty dzień roku, drugi dzień mundialu. Jolanta Łapka podąża wraz z tłumem pątników w stronę szczytu Górki Gołonoskiej. Mija stragany z tatarczuchem i bezowymi misiami, wdycha zapach palonego cukru. Patrzy na puchate kule waty, pęta obwarzanków ozdobione kolorowymi kokardkami z bibuły, gumowe główki diabłów, które naciśnięte wystawiają czerwony języczek.

Na szerokich ladach leżą nieśmiertelne plastikowe pistolety, błyszczą pierścionki z tombaku i blachy. Wyżej, nad stoiskami, furkoczą na wietrze balony. Niewiele się zmieniło w odpustowej tradycji od czasu, kiedy jako dziecko przyjeżdżała z babcią do kościoła na Górce w Dniu Świętego Antoniego — jedynie balony teraz inne, większe, bardziej kolorowe, o wymyślnych kształtach: serc, ust, samochodów; są i świecące w ciemnościach, z przyczepionymi diodami LED, oraz te najbardziej przyciągające uwagę najmłodszych — z postaciami ze współczesnych kreskówek. No i nie ma oranżady w woreczkach ani gum w kształcie papierosa, które tak lubiła, a których babcia nie pozwalała kupować, bo „jeszcze się przyzwyczaisz i kiepy będziesz palić; a jak zapalisz raz, to już nie ma odwrotu".

Jolanta idzie, uśmiecha się do swoich myśli. Przez chwilę czuje się znowu jak mała dziewczynka. Widzi siebie maszerującą w górę ulicy w odświętnej sukience, z wilgotną i słodką kromką tatarczucha w dłoni, spoglądającą z ciekawością na rozłożone po obu stronach ulicy stragany. Obok niej idzie babcia, zniecierpliwiona niemrawo drepczącym tłumem i natarczywością sprzedawców, przemawia do niej

dobrotliwie, acz z lekkim wyrzutem: „Joluś, nie ma co się gapić na kramy. Odpust jest na górze, w kościele. Tutaj przepust, diabelskie misteria".

Tak jak wówczas Jolanta kieruje się w górę, w stronę celu podróży — sanktuarium Świętego Antoniego, ale robi to nieśpiesznie. Mija kilka starych, przedwojennych domków, budynek dawnej szkoły podstawowej, w którym teraz mieści się uczelnia prywatna, zagląda w okna nowo wybudowanych willi. Droga doprowadza ją do wiekowych krytych schodów.

Chwyta się poręczy i ciężko oddychając, wspina się po kolejnych stopniach. Schodków jest osiemdziesiąt sześć. Kiedyś pokonywała je w niecałe pół minuty, teraz musi często przystawać. Ciążowy brzuch coraz bardziej daje się jej we znaki; dokucza ból pleców, przeszkadzają opuchnięte stopy. Za nią robi się tłoczno. Jakiś mężczyzna woła z dołu: „Jak się dużo jadło, trzeba dźwigać sadło!". Jolanta słyszy czyjś stłumiony śmiech, a tuż potem karcący głos kobiety:

— A pan by się wstydził! Pijany do kościoła? W takie święto? I tak się odzywać do kobiety?

— Jakie pijany! — obrusza się jegomość. — Co, już pożartować nie można?

Jolanta próbuje złapać oddech. Staje bokiem, przepuszcza napierających z tyłu ludzi.

— A, pani w stanie błogosławionym! To ja może pomogę? — odzywa się ta, która krytykowała przed chwilą grubiańskie zachowanie mężczyzny, i nie czekając na odpowiedź, bierze ją pod rękę. Po chwili są już na górze.

— Dziękuję — mówi cicho Jolanta. — Ale nic się przecież nie stało.

Kobieta pyta, który miesiąc; odpowiada jej, że siódmy. Tamta już otwiera usta, by zadać kolejne pytanie, lecz zagłuszają ją kościelne dzwony; te same, które rok w rok, odkąd przywieziono je na specjalne zamówienie z pracowni ludwisarskiej Felczyńskiego w siedemdziesiątym szóstym i uroczyście zawieszono w sanktuarium, witały Jolantę w Dniu Świętego Antoniego swoim czystym trójgłosem; te same, które rozbrzmiewały w osiemdziesiątym pierwszym i dwa tysiące czwartym i które bić nie przestaną, gdy jej już nie będzie.

Jak dotąd — jest, żyje, na dodatek nosi w sobie nowe życie. Dziecko, którego jest tak bardzo ciekawa, na razie rezyduje w jej brzuchu, ale wkrótce zamieni matczyne łono na inny wehikuł. Jolanta ma nadzieję, że za rok przyjdzie tutaj znowu, z wózkiem, a dzwony zaśpiewają tak samo jak zawsze. Może nawet piękniej?

Tymczasem nieznajoma prowadzi ją w kierunku wejścia. Dzwony milkną. Kościelny dziedziniec wypełnia się naraz stukotem setek obcasów uderzających o płyty chodnika, zwielokrotnionym przez echo, połączonym z odgłosem półszeptanych rozmów w jeden, szemrząco-klekoczący wieloton.

Przy schodkach wiodących do brązowych, rzeźbionych drzwi, na rozłożonej na chodniku marynarce siedzi ciemnowłosy, śniadoskóry mężczyzna z podniszczoną czapką w ręku. Obok niego drzemie pies.

Kobieta nachyla się w stronę Jolanty.

— Niech pani popatrzy, nawet świątyni w taki dzień nie uszanują — mówi przyciszonym głosem. — Żebrać musi, to ja rozumiem, zawsze tu różni żebrali, ale żeby z psem? Przecież nie jest niewidomy. Zaraz cały chodnik będzie

zapaskudzony, bo nie sądzę, żeby sprzątnął po zwierzaku — szepcze dalej do ucha Jolanty, po czym dodaje jeszcze: — To chyba Cygan albo uchodźca jakiś, taki czarny, widzi pani?

Jolanta nie odpowiada. Wyswobadza rękę z uścisku i w milczeniu wchodzi do kościoła. Wyciąga dłoń w stronę kropielnicy, zanurza palce w chłodnej wodzie. Wykonuje znak krzyża, potem przesuwa rękę w dół i na brzuchu kreśli drugi krzyż, żeby i dziecko poczuło, że jest w domu Pana.

W środku pachnie świeżo wypastowaną posadzką i liliami — ulubionymi kwiatami Świętego Antoniego. W ławach nie ma wolnych miejsc. Ludzie siedzą ściśnięci, jeden przy drugim, rząd za rzędem. Ich głowy wyglądają jak koraliki nanizane na niewidzialną nić.

Jolanta staje przy cokole, spogląda na ołtarz główny i zaczyna się modlić. A ma o co. Po pierwsze — dziecko. To w brzuchu, żeby urodziło się zdrowe. To drugie, które zaginęło przed laty: niech się wreszcie odnajdzie, żywe albo martwe. No i mąż: żeby w końcu pracę stałą znalazł, żeby wyszedł z choroby.

Dźwięk liturgicznych dzwonków ogłasza: powstańcie, zaraz się rozpocznie odpustowa suma. Wierni podnoszą się z ław. Środkiem kościoła sunie w stronę ołtarza procesja wejścia. Jako pierwsi idą ministranci: turyferariusz — opiekun kadzidła, po jego lewej stronie nawikulariusz z mosiężną łódką, za nimi ściskający oburącz drzewo święte krucyferariusz pomiędzy ministrantami światła. Potem ministranci ołtarza, odpowiedzialni za naczynia liturgiczne i kielichową bieliznę, oraz lektorzy z psałterzystą pośrodku. Dalej ceremoniarz obok ministranta księgi. Na końcu w odświętnym złotym ornacie kroczy główny celebrans w asyście czterech kapłanów.

Orszak dociera do ołtarza. Jolanta czuje spokój. Słońce zagląda przez witrażowe okno, kładzie się kolorowymi plamami na podłodze. Błyszczą złocone freski, pachnie kadzidło, ksiądz wygłaszający homilię ma piękny, kojący głos. Nawet Jezus na ołtarzu jakby mniej cierpiący, bo wszystko w dniu świętego musi być przepełnione radością.

Po mszy tłum ciągnie pod sam ołtarz — tam, gdzie na podwyższeniu leży duży krucyfiks. Ludzie ustawiają się w kolejce, żeby ucałować Chrystusowe rany. Kapłan po każdym pocałunku przeciera białą szmatką plastikowe stopy figury. Jolanta przyklęka, dotyka ustami zimnej, gładkiej powierzchni, następnie wstaje i podchodzi do dużego wiklinowego kosza wypełnionego po brzegi malutkimi, święconymi bułeczkami. Ludzie cisną się do przodu, chwytają po kilka bułek, ci z tyłu narzekają, że dla wszystkich nie wystarczy.

Jolanta bierze jedną bułeczkę i osłaniając brzuch, przedziera się przez tłum do bocznej nawy. To tutaj, pośród darów wotywnych i kwiatów, rezyduje Święty Antoni. W lewej ręce trzyma białą lilię, prawą obejmuje małego Jezuska; pochyla się nad nim, jakby chciał mu coś powiedzieć na ucho.

Jolanta przysiada w klęczniku, intensywnie wpatruje się w figurę świętego i powtarza w myślach: „Święty Antoni Padewski, królewiczu niebieski, niech się stanie wola twoja, niech się znajdzie zguba moja". Przez chwilę zdaje się jej, że Antoni odpowiada: „Czego szukasz, duszo miła? Czy nie masz już wystarczająco dużo?". Ale ona nie przestaje powtarzać, jeszcze raz i jeszcze. Słowa modlitwy wypełniają jej umysł. Oddech zwalnia, serce bije miarowo, spokojnie. Czuje się, jakby była małą łódeczką, kołysaną przez łagodne morskie fale. Z tego stanu wyrywa ją mocne szturchnięcie

w podbrzuszu. Dziecko zaczyna się wiercić, rozpychać, widocznie nie jest mu wygodnie. Trzeba w końcu podnieść się z klęcznika i wracać do domu. Robi to z trudem — stopy ma zdrętwiałe od długiego przebywania w jednej pozycji, w prawym kolanie z każdym krokiem coś chrupie. Zaciska zęby i rusza do wyjścia.

Sporo ludzi zostaje; czekają, aż ksiądz poświęci zgromadzone przed kościołem samochody. Jolanta najważniejsze wymodliła, taką ma nadzieję. Gdy przekracza próg bramy, oślepia ją słońce. Zamyka oczy, a kiedy po chwili je otwiera, widzi śniadą twarz żebraka tuż przed swoją.

— Jestem głodny, może pani podzielić się ze mną tą kajzerką? — zwraca się do niej nienaganną polszczyzną.

Jego oczy są brązowe, prawie czarne, hipnotyzujące. Bez słowa kładzie bułeczkę na jego wyciągniętej dłoni. Z torebki wygrzebuje dwa złote, wrzuca do czapki.

— Bóg zapłać — odpowiada żebrak, a potem przymyka powieki i zaczyna mruczeć pod nosem: — *Om purnam adah purnam idam, purnat purnam udacyate*.

Zaskoczona, nie rusza się z miejsca. Słucha słów płynących z ust nieznajomego. Ten śpiewnym głosem powtarza je w kółko, lekko kołysząc przy tym głową. W końcu jednak milknie, otwiera oczy, robi krok w jej stronę i zagaja:

— Jak pani na imię?

— Jolanta — odpowiada niepewnie.

— Ładnie. Tak miała na imię córka króla René. Była szczęśliwa, dopóki… — Mężczyzna zamyśla się, nie kończąc rozpoczętego zdania.

— Dopóki? — ciągnie go za język, nagle zaciekawiona.

— Nieważne. — Czarnowłosy potrząsa przecząco głową. Podnosi bułkę do ust i odgryza kawałek: — Świeżutka

— stwierdza z zadowoleniem. — Dobra — dodaje, pochłaniając całą w kilku kęsach.

— To z kościoła — tłumaczy Jolanta.

— Nie dlatego dobra. Smakuje, bo darowana od serca. Jeszcze raz dziękuję.

— Potrzebuje pan czegoś jeszcze?

— Wszystkiego, czego potrzebowałem, pozbyłem się dawno temu. I przyznam, że teraz żyję znacznie lepiej, ciekawiej. Ale pozwoli pani, że się przedstawię. Mam na imię Balaram. Urodziłem się w Indiach. Moja mama przyszła na świat w obozie dla polskich uchodźców w Valivade w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym. Ojciec, Hindus z dziada pradziada, pochodził z Balaghat. Przyjechałem tu, żeby poznać kraj przodków, no i trochę popracować — peroruje, wskazując palcem wystające w oddali kominy. — Nasz dawny sąsiad z Radżastanu tę hutę wykupił. On jest księciem stali, a ja — ścisza głos — ja tu jestem incognito. Przyglądam się ludziom, badam ich stan ducha. Łachmaniarz, parias, mówią jedni, drudzy mawiają: *sannyasin*. No to jestem. Jednym, drugim; nie jestem żadnym. *Neti, neti*. Nic nie mów, siostro. Nakarmiłaś głodnego, wspomogłaś potrzebującego, dziękuję. Niech ci los wynagrodzi. I twojemu synowi, bo to będzie wyjątkowy chłopak, za trzy lata się o tym przekonasz.

Jolanta jest zakłopotana, nie wie, jak zareagować na słowa mężczyzny. Tymczasem on podnosi z ziemi marynarkę, przesypuje pieniądze z czapki do kieszeni, po czym składa ręce na piersiach i lekko skłaniając głowę, mówi:

— *Namaste*, droga pani. Do zobaczenia. A, jeszcze jedno: dzisiaj wygra Holandia.

Odpowiada mu: „Do widzenia", i pośpiesznie rusza w stronę schodów. Czuje się nieswojo; nieokreślony lęk

każe jej sercu bić szybciej. „To będzie wyjątkowy chłopak, za trzy lata się o tym przekonasz" — powiedział ten człowiek. Skąd w ogóle wiedział, że oczekuje syna? A może nie wiedział, tylko zgadywał, i przypadkiem udało mu się trafić? Niepokój, zasiany podczas tej dziwacznej rozmowy, miesza się z nadzieją, że przecież wszystko, tam na górze, jest już ustalone; cokolwiek by kto mówił, cokolwiek by się stało — będzie, jak być powinno, jak chce tego Bóg. Gdy na szczycie schodów ogląda się za siebie, po tajemniczym osobniku oraz jego psie nie ma śladu.

2.

Dziecko przyszło na świat w sześćdziesiątą dziewiątą rocznicę zrzucenia bomby na Hiroszimę. Wszystko stało się tak szybko, że Janusz Łapka nie zdążył dowieźć żony do szpitala; urodziła syna w samochodzie, zielonym cinquecento, na poboczu drogi między Strzemieszycami a Staszicem. Akcja porodowa trwała zaledwie piętnaście minut; gdy przyjechało pogotowie, było już po wszystkim. Jak się później okazało na badaniach w klinice, noworodek był zdrowy. Ważył trzy kilogramy i trzydzieści pięć deko, centymetrów zaś miał tyle, ile jego matka lat. Można powiedzieć, że był długi jak Abraham, bo Jolanta obchodziła abrahama, czyli swoje pięćdziesiąte urodziny, dwa tygodnie wcześniej. Radość była wielka, w związku z tym, że kobietom w jej wieku takie rzeczy rzadko się zdarzają, choć biblijnej Sarze się trafiło i Janet Jackson też.

Chłopiec otrzymał imiona: Jan, Antoni. Jan — w połowie po ojcu. Antoni — głównie po Padewskim, ulubionym świętym Jolanty, ale też trochę po niej samej — kiedy była

nastolatką, wołano na nią: Anta, Ancia. Zatem Janek, Jancio, Janciunio.

Fąfel miał apetyt, szybko przybierał na wadze. Dobrze spał i mało płakał. „Cudny cudaczek, mój złoty skarbuniek" — szczebiotała do niego. Lubił, kiedy mu śpiewała. Gdy tylko zaczynała nucić, śmiał się głośno, śmiesznie parskał i uderzał pulchniutkimi rączkami o uda.

— Popatrz, Janusz — mówiła rozbawiona. — Jaki z niego śmieszek i meloman.

Niestety, Januszowi Łapce nie było do śmiechu. Od wielu miesięcy tkwił w stanie odrętwienia. Każdego ranka budził się z wrażeniem wszechogarniającej daremności, bez nadziei na zmianę. Czuł się tak, jakby obiema nogami utknął w gorącej smole. A kto miał styczność ze smołą, ten wie — gdy się w nią wdepnie, może się to źle skończyć. Janusz wiedział; przez dwadzieścia siedem lat pracował na budowie i różne rzeczy widział. Na przykład tego psa, co to wpadł do kałuży z lepikiem. Był rok dziewięćdziesiąty pierwszy, imieniny Piotrka. Butelka krążyła, pili czystą z gwinta; jeden chłopak zaczął tańczyć i wpadł na maźnicę. Trochę się gorącej masy na ziemię wylało, nie tak dużo, więc zostawili i po pracy poszli do baru pić dalej. No, a rano ten pies, nie wiadomo skąd. Leżał na boku w zastygniętej smole, tylko jedną wolną łapą machał i tak przejmująco piszczał. Janusz chciał dzwonić po strażaków, ale Piotr się nie zgodził, bo wszystkim by się dostało po głowach od inżyniera Byrczyka. Podeszli we dwóch — Piotrek z Waldkiem — i dobili zwierzaka. Potem Waldek zaczął odrąbywać go po kawałku z tej smoły, w końcu wrzucił do dołu, tego, co go kopali pod fundament.

Janusz często myślał o tym psie. Wyobrażał sobie, jak go głaszcze, karmi. Nadał mu imię: Czarek. Ciągnął w swojej

głowie jego psie życie, w którym z nimi mieszka, śpi w salonie na kanapie i bawi się z Dawidkiem. Nocami przychodziły jednak wizje nieproszone, straszne. Widział Czarka, jak leży w tej smole, jak ona powoli zastyga. Zwierzę najpierw walczy, próbuje uciekać, już mu się prawie udaje, ale traci równowagę i upada na bok. Później szczeka przez całą noc, głos mu chrypnie, aż w końcu tylko dyszy, popiskując cicho. I czeka.

Janusz też czekał, od dnia postawienia diagnozy. Na początku myślał, że przejdzie samo; nie przeszło. Próbował zagłuszyć to, co kiełkowało i zapuszczało w nim korzenie coraz mocniej, jak psianka czarna albo owies głuchy. Pił coraz więcej; najpierw pomagało, potem było gorzej. Przychodził smutek, ciężki niczym ołowiany, rentgenowski fartuch. Brak sensu wyzierał z każdego kąta, każdej opróżnionej butelki, rozpoczętej czynności. Wyrzucili go z pracy. Całe dnie spędzał w domu, zmieniając kanały telewizyjne albo leżąc w łóżku ze wzrokiem wbitym w ścianę. W końcu Jolanta zaciągnęła go do psychiatry, wykupiła receptę. Leki chciał wyrzucić do kosza zaraz po wizycie, zaparł się, że łykać ich nie będzie, obiecał Jolce, że weźmie się w garść. Wiedział, że trzeba coś zrobić, ale nie miał siły. Mógł jedynie sprawiać wrażenie ruchu, jak ten świerk za oknem, który stoi w miejscu i tylko czasem ugina się pod naporem wiatru, raz w tę, raz we w tę. Bardzo go ten świerk denerwował. Chętnie by go porąbał za to irytujące poskrzypywanie, namolne szeleszczenie gałęziami, za to, że nie pozwala mu w nocy spać.

Noce były dla Janusza największą udręką. Leżał w ciemnościach godzinami, przewracając się z boku na bok, a myśli i obrazy, tłumione w ciągu dnia, z łatwością wyciekały, nieproszone, nachalne. A to ten pies, a to żona z podciętym gardłem, to znów on, dyndający na pasku od spodni.

3.

— Może pobawiłbyś się z Jasiem? — proponuje Jolanta. — Bo ja muszę wyskoczyć do sklepu.

— A to z nim nie możesz? — pada odpowiedź z jego ust.

— Mogę, ale nie wiem, czy nie będzie padać. Poza tym, zanim go ubiorę, wygramolę się z wózkiem, to minie z pół godziny.

— No to co? Czasu masz dużo.

— A ty niby nie?

Janusz wzrusza ramionami i odwraca głowę w kierunku okna.

— W porządku — mówi ona i zaczyna wyciągać z komody ubrania dla Jasia. Podśpiewuje przy tym jakąś wesołą melodię, co chwilę odwraca się w stronę kojca, robi śmieszne miny do małego. Dziecko zanosi się od śmiechu.

Łapkę drażnią, wręcz bolą te dźwięki; dowody jawnej, nieskrępowanej radości.

— Moglibyście tak nie hałasować? — rzuca do żony.

— Zaraz wychodzimy — odpowiada mu — to sobie odpoczniesz. Mam nadzieję, że w końcu uda ci się odpocząć.

Wyczuwa w jej słowach lekką nutę ironii. Trafiła w sedno. Nie potrafił odpoczywać, nie potrafił zrobić nic konstruktywnego z wolnym czasem. Mijały minuty, godziny, a on nie umiał ich przekształcić w nikłe chociaż poczucie satysfakcji. Czuł tylko boleśnie, że czas mija, przelewa się przez niego jak przez wielkie sito, na którym nie zostaje nic, nawet drobinka. To beznadziejny stan, tak męczący, że zaczynał tęsknić za tymi chwilami, w których wszystko obracało się o sto osiemdziesiąt stopni, a jego nastrój szybował w górę.

Mania, różne odmiany manii. Hipomania — kiedy polepszało mu się nieco i zaczynał znów wychodzić na wódkę z kolegami. Hipermania — gdy nagle, po miesiącach beznamiętnej wegetacji przeskakiwał w nim jakiś trybik i coś pchało go do natychmiastowego działania. Nie brał wtedy do ust alkoholu, prawie nie jadł, wychodził na podwórze i godzinami rąbał drewno. Jak drewna zabrakło, wracał do domu, sprzątał, przestawiał meble, piekł po kilka blach chleba. Gdy mu się znudziło krzątanie po domu, to jechał do miasta. A tam działy się rzeczy, których wolał nie wspominać, bo wstyd straszny i poczucie winy. Ale wszystko, niestety, pamiętał dokładnie.

Za pierwszym razem, któregoś wieczoru, kiedy Jolanta była jeszcze w pracy, po prostu wstał z łóżka, zgolił maszynką zarost i włosy, nieruszane przez fryzjera od miesięcy, ubrał się, po czym pojechał autobusem do centrum handlowego. Coś mu w środku mówiło: kup garnitur. No to kupił. Ekspedientka już się szykowała do zamknięcia butiku, ale klient trafił się zdecydowany, więc z uśmiechem przyskoczyła do niego. Wskazał palcem na garnitur ze sklepowej wystawy i powiedział: „Ten by mnie interesował". Był to biznesowy model Huge6/Genius4 za tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć złotych. Starannie wykonany, z melanżowym wzorem, z czystej wełny ze strzyży. Sprzedawczyni odprowadziła go do przymierzalni, a gdy z niej wyszedł, zaczęła się rozpływać w zachwycie nad tym, jak to wyjątkowo się w garniturze prezentuje. Patrzył w lustro i z uznaniem kiwał głową. Tak, teraz wyglądał jak James Bond — męsko i elegancko. Życie powinno być eleganckie. Kto elegancko żyje, ten i z klasą umiera. Oczywiście on w tamtym momencie nie myślał o śmierci. Kazał ekspedientce zapakować stare

ciuchy do firmowej torby, po czym cisnął ją do kosza na śmieci przed hipermarketem i pojechał taksówką prosto do agencji towarzyskiej.

Klub nocny Hades był obskurną willą położoną na obrzeżach Sosnowca. Na parterze mieścił się dobrze wyposażony bar i podest ze srebrnymi rurami, przy których w tańcu wyginały się dziewczyny. Od razu podszedł do barmana, zamówił: „Coś do picia, byle mocne, cena nie gra roli", i po chwili ze szklaneczką Hazelburn 12YO siedział na skórzanej, czerwonej kanapie. Czuł się wyśmienicie. Patrzył na wijące się przy rurach jędrne, młode ciała, podśpiewując pod nosem: „Brunetki, blondynki, ja wszystkie was dziewczynki, całować chcę". Najpierw wybrał brunetkę; była szczupła, miała piękne, śnieżnobiałe zęby i obfite piersi. Szybko poszli na górę, do małego, obskurnego pokoiku. Tam uprawiali seks w przeróżnych wariantach. Długo na jeźdźca, bo tej pozycji Jolanta akurat nie lubiła, narzekała, że widać jej drugi podbródek i nie może się skupić. Potem od tyłu, bo tak też zazwyczaj jej się niezbyt podobało. Potem przy ścianie, pod oknem, na krześle z przodu i od tyłu, na puchatym dywaniku obok łóżka, a na koniec grzecznie ją poprosił, żeby popieściła go ustami. Tylko seksu analnego nie spróbował i choć przyszło mu do głowy, że może i by chciał sprawdzić, jak to jest, gdy uprawia się miłość w ten sposób, to nie miał śmiałości jej tego zaproponować; za ładna mu się ta brunetka wydała na takie eksperymenty. Potem wrócił do baru i znów oglądał dziewczyny. Po godzinie szedł już na górę, teraz z rudzielcem, po specjalnej, promocyjnej cenie. Pokój tym razem był odrobinę większy, seks już bez ekscesów, spokojny i długi, ciężko było mu skończyć.

Dochodziła czwarta rano. Wiedział, że w domu Jolanta szaleje z niepokoju, ale niespecjalnie go to obchodziło. Chciał kupić jeszcze godzinę z niską, pulchną blondynką, okazało się jednak, że skończyły mu się pieniądze, zresztą i tak nic by z tego nie wyszło, był za bardzo zmęczony.

Opuścił agencję i ruszył poboczem w stronę centrum, a z każdym metrem ubywało mu siły. Dobry nastrój zaczął przeobrażać się w uczucie rozdrażnienia. Gdy dotarł do przystanku, buzował w nim gniew niczym jasny, silny płomień. Pech chciał, że w bojowym nastroju byli także dwaj ponurzy mężczyźni czekający pod wiatą na autobus. Janusz, przechodząc obok jednego z nich, lekko go potrącił.

— Ej, gościu, co jest? — warknął nieznajomy.

— A co ma, kurwa, być? — odpowiedział mu zaczepnie.

— Uderzyłeś mnie w ramię, pojebało cię czy co?

— No, przepraszam bardzo, cwelu.

To była jedna z tych iskier, które podpalają świat. Gdy autobus dojeżdżał do przystanku, Janusz leżał na dnie rowu z obitą twarzą i stłuczonymi żebrami. Panowie wsiedli do busa i odjechali. On w tym rowie tkwił jeszcze przez kilka godzin; zrobiło się ciepło, więc po prostu zamknął oczy, a kiedy je ponownie otworzył, było przed południem. Chwiejnym krokiem wyszedł z zarośli, skacowany, obolały, w garniturze ubrudzonym błotem i zaschniętą krwią.

Na przystanku stała starsza kobieta. Na jego widok krzyknęła, a potem pośpiesznie dotknęła dłonią czoła i piersi, kreśląc znak krzyża.

— Coś się pani nie podoba, hę? Myśli, że lepiej wygląda? Spojrzeć w lustro nie zaszkodzi, oby tylko nie pękło ze strachu, he, he — rzucił do niej złowrogo.

Na pogotowiu powiedzieli, że miał dużo szczęścia. Warga co prawda rozcięta, spuchnięta tak, jakby pocałował się z pszczołą, ale zęby wszystkie na miejscu, z nosem też w porządku. Tylko żebra — bolały okropnie. Dostał zalecenie, żeby przez trzy tygodnie unikać wysiłku fizycznego, dużo leżeć, potem przyjść na kontrolę. Na kontrolę nie poszedł, a z łóżka nie wstawał ze dwa miesiące. Nie ze względu na żebra. Po prostu wrócił dawny Janusz. Pierwsza faza manii trwała kilkanaście godzin, depresyjny zjazd — aż do listopada.

*

Jolanta wybaczyła, ale co przeszła, wie tylko ona. Tamtej nocy, kiedy czekała na męża, wyobrażając sobie najgorsze, postarzała się tak, jakby minęła nie noc, ale dekada. To właśnie wtedy zaczęła mieć problemy ze snem. Zasypiać — z tym sobie radziła, ale budziła się po paru godzinach i już nie umiała wejść ponownie do strefy jedynego wytchnienia, jakie dawał jej sen. Lekarka rodzinna przepisała jej pigułki i jak to zwykle bywa, z początku pomagały, potem niekoniecznie. Pani doktor wypisała receptę na inne, ale te w ogóle na Jolantę nie działały, więc odstawiła je do szafki i postanowiła zaakceptować, co Bóg dla niej przygotował. Tak to właśnie odebrała — jako rodzaj próby, jednej z wielu. Pomyślała, że skoro przeżyła utratę Dawidka, to wytrzyma mężowskie wyskoki, w końcu jest chory, nie ma nad sobą kontroli. Nie dała rady być twarda, gdy przed nią klęczał, cały we łzach, zasmarkany, jęczący: „Jola, przepraszam, jestem śmieciem, jestem wielkim gównem, zabij mnie, Jola, zabij". Nie mogła mu nie wybaczyć. A że przyszła bezsenność? Nic dziwnego — tłumaczyła sobie — to się zdarza

w stresie, a że ona zbliża się do wieku przekwitania, może to też po części od tego? Poza tym czymże jest niedostatek snu wobec innych, większych problemów? Niekoniecznie własnych. Tacy przykładowo uchodźcy: ludzie na nich psioczą, ale gdyby znaleźli się na ich miejscu, też by uciekali, gdzie się da, przed wojną. Ona na ich miejscu zrobiłaby wszystko, aby chronić rodzinę, nie widzieć tych wszystkich okropieństw: dziecięcych ciałek z urwanymi nóżkami, rozprutych brzuchów matek, głów mężczyzn nabitych na pale.

Nie ma powodów, aby się nad sobą użalać, kiedy wokół tyle ludzkiego cierpienia — przekonywała samą siebie. Zresztą to już przeszłość — bezsenność minęła, gdy dowiedziała się o ciąży. A teraz, odkąd jest z nimi Jasio — żywe srebro, kochany rozrabiaka — dni ma tak wypełnione obowiązkami, że wieczorem ledwo się trzyma na nogach, dzięki czemu w nocy śpi jak zabita. A Janusz? Może kiedyś nadejdzie chwila, że i on poczuje się dobrze — myślała — zatem nie ma co narzekać, bo, po pierwsze, narzekanie niszczy człowieka, powoli, lecz nieubłaganie, niczym podstępna, śmiertelna choroba. A po drugie — wszak ich życie zaczęło się pomalutku zmieniać na lepsze.

*

— Co, skarbuniu, wychodzimy? — zwraca się do Janka. Malec w odpowiedzi uśmiecha się promiennie. Wygląda pociesznie w granatowym kombinezonie w autka oraz czapeczce z uszami misia. — No, to lecimy, Janusz — oznajmia, zdejmując kurtkę z wieszaka.

— Widzę, idźcie — odzywa się do niej szorstko, ale zaraz dodaje zupełnie innym tonem: — Pa, Ancia. Jolanta rozpoznaje w głosie męża dawno niesłyszaną nutkę czułości.

Podchodzi do niego, chcąc go pocałować, jednak on szybko odwraca głowę; kładzie mu więc tylko rękę na ramieniu.

— Jakbyś był głodny, to zrób sobie tosty, obiad będzie dopiero, jak wrócę — mówi.

— Nie umrę tu, nie bój się.

— A dlaczego miałbyś umrzeć?

— No, z głodu. Nie umrę, idźcie już.

4.

Fortunat Nabiałek miał paskudne dzieciństwo. Pierwsza sprawa: rodzice. Ojciec — artysta malarz, matka — performerka, okazyjnie tancerka i śpiewaczka w kabarecie dla dorosłych. Po drugie: nazwisko. „Obsrałek-Nabiałek. Nabiałek, pokaż jaja" — tak wołały za nim dzieciaki z podwórka. No i wreszcie imię. Jeśli to prawda, że pech lubi zmasowane działania, on był tego żywym przykładem.

Najbardziej nie znosił imienia. Ojciec, Albert Nabiałek, nadał mu je na cześć swojego dziadka poległego w powstaniu wielkopolskim. Mówił, że jest piękne i pasuje do nietuzinkowych ludzi, takich jak na przykład António Fortunato de Figueiredo — indyjski skrzypek i dyrygent, Fortunat Jurewicz — polski zoolog, lekarz oraz filareta, albo włoski malarz, rzeźbiarz, pisarz i futurysta w jednym, twórca butelki Campari Soda, czyli Fortunato Depero. W historii zapisali się na wieki inni Fortunaci: Arriola czy Wenancjusz — mówił z powagą ojciec, przekonując, że nie ma wspanialszego imienia. Do małego Fortunata niespecjalnie ojcowskie argumenty trafiały.

„Fortek bez portek, obsrałek-Nabiałek, pokaaa ja–jaaa" — odbijało się echo od ścian kamienicy. Żoliborz, miejsce